

Jan Maciejewski: Jutrznia. Do kresu nocy

Jutrznia jest jedną z najstarszych modlitw Kościoła, powstała niezależnie od pozostałych godzin liturgicznych, wcześniej od nich wyruszyła w swą drogę. Tradycja Apostolska zachowała wezwanie z końca drugiego wieku: „A o północy powstań z łoża swego, obmyj się i módl się... Potrzeba, byśmy o tej godzinie raz jeszcze odprawiali modły, albowiem wtedy wszystko stworzenie spoczywa i Boga wysławia. Gwiazdy, drzewa i wody zdają się w ciszy odprawiać godzinę modlitwy. Całe zastępy Aniołów składają hołd Bogu razem z duszami sprawiedliwych. Wszyscy o tej godzinie sławią Boga wszechmogącego” – pisze Jan Maciejewski w trzeciej części cyklu „Godziny”.

Spotkanie z nią jest miarą każdej gorliwości. Nie była prawdziwą miłością ta, która na chociaż jedną noc nie pozbawiła nas snu. Nie dręczyła niepewnością albo nie wygnała na ciągnący się aż do rana spacer. Nie jest coś prawdziwą pasją, jeśli raz na jakiś czas nie przetrzyma nas aż do świtu nad jakimś zadaniem – konstrukcją, równaniem, czytana książką, pisany tekst. Rozwiązaniem, które wydaje się uciec raz na zawsze, jeśli nie przyszpili się go właśnie teraz, kosztem lepiących się oczu i zawrotów głowy. Zaciągnięcia u organizmu długu, którego spłata zabiera nieprzyszwyczajonym nawet kilka dni. Są też takie obowiązki nocy, które nie pytają nas o zdanie, stawiają potrzebę snu przed faktem dokonanym – płacz niemowlaka, choroba dziecka. A więc prawdziwość, autentyczność tych kilku kluczowych dla naszego życia spraw – uczucia, powołania, obowiązku – rozstrzyga się przed Trybunałem Nocy.

Jan Maciejewski „Już pora” (zamów zbiór)

Przespane, przegapione – znikają raz na zawsze. Może jeszcze tylko pochyłą się nad nami i szepną pożegnanie – „nawet godziny nie mogłeś ze mną czuwać?”. A potem odejdą, strząsając po drodze pył ze stóp. Bo wszystko, co najważniejsze, zaczyna się nocą. Nadchodzi niespodziewanie, wbrew „porządkowi dnia”. Jak Oblubieniec, który w ewangelicznych przypowieściach pojawia się w środku nocy. Kiedy jest najciemniej, gdy powieki lepiły się najmocniej. Kiedy głupim pannom kończy się właśnie oliwa do lamp, a mądre wymieniły ją dosłownie chwilę temu, ale już bez początkowego zapachu, bardziej z poczucia obowiązku, popchnięte do tego automatyzmem cnoty. To nie miało się prawa zdarzyć, nie teraz. Kiedy czekanie zaczynało się już stawać sztuką dla sztuki, cel zniknął z horyzontu i nie dojrzysz go, choć oko wykol. Ale właśnie im coś jest droższe, z tym głębszej ciemności się wyłania.

Jutrznia jest jedną z najstarszych modlitw Kościoła, powstała niezależnie od pozostałych godzin liturgicznych, wcześniej od nich wyruszyła w swą drogę. Tradycja Apostolska zachowała wezwanie z końca drugiego wieku: „A o północy powstań z łoża swego, obmyj się i módl się... Potrzeba, byśmy o tej godzinie raz jeszcze odprawiali modły, albowiem wtedy wszystko stworzenie spoczywa i Boga wysławia. Gwiazdy, drzewa i wody zdają się w ciszy odprawiać godzinę modlitwy. Całe zastępy Aniołów składają hołd Bogu razem z duszami sprawiedliwych. Wszyscy o tej godzinie sławią Boga wszechmogącego”.

Jesteśmy dziećmi światłości, ale naszym miejscem przebywania jest noc. Tu, na ziemi, w doczesności, błąkamy się pośród egipskich ciemności. To dlatego tak często się potykamy, nie jesteśmy w stanie

dostrzec prawdziwego kształtu rzeczy, zorientować się w tym, co właściwie się wokół nas dzieje. Wśród nocy rozchodzą się głosy, a wszystkie dziwne i nieznane; każdy szelest sprawia, że serce podskakuje do gardła; barykadujemy drzwi, boimy się wpuścić do środka nawet tych, których najbardziej kochamy. Nic nie jest pewne ani wyraźne. „Wszakże o północy rozległo się wołanie: oto Oblubieniec nadchodzi, wyjdźcie Mu na spotkanie”. Nocy nie wystarczy przeczekać, przesiedzieć z naciągniętym na głowę kocem do rana. Trzeba jej wyjść na spotkanie i to wtedy, kiedy jest najciemniej. Wszystkie podróże, każda przygoda, rozpoczyna się przed świtem. Kiedy ci, których opuszczamy jeszcze śpią. Kiedy nikt nas nie zaczepi i nie odwiedzie, nie zacznie uświadamiać skali szaleństwa naszego pomysłu, nie zatrzyma w drodze. Noc nie minie sama z siebie – trzeba ją wykorzystać, do jej kresu, do dna. Bo tak samo jak życia na ziemi, nie wolno jej przespać.

Jan Rokita „Rumuński precedens” (felieton)

Znowu go nie było. Nie musiała otwierać oczu, wymacywać dłonią zmiętej pościeli. Z tego miejsca, w którym powinien był leżeć, nie promieniowało jego ciepło. Wymknął się, kolejny raz. Zmrużyła oczy tylko na chwilę, tak długo przy nim czuwała, tak spokojny i równomierny wydawał się już jego oddech. Wpatrywała się w niego jak w dręczone jakąś nieznaną chorobą dziecko, śledziła każdy, najmniejszy nawet skurcz przebiegający na jego twardej, zarosniętej brodą twarzy. Czy sen już przyszedł? A jeśli tak, kogo ze sobą przyprowadził? Mnie przecież nie musiał. Nie mógł wyśnić tego, co jest zawsze tuż obok. Dręczyła się jego snami, nad nimi jedynymi nie miała kontroli. Jego dni należały do niej, mogła śledzić, dokąd idzie i co robi.

Wiedziała, znała już na pamięć, wszystkie jego miny i grymasy. Nie zmieniały się, jak wszystko inne na jej wyspie, miała więc czas, żeby je sobie utrwalić i posegregować.

Za dnia mógł być zachmurzony i milczący, ale dopiero nocami zyskiwał prawdziwą przewagę, udawało mu się ją oszukać. Wymyknąc z jej domu jak kiedyś z jaskini Polifema. Tamtemu wykłuł jedyne oko, ją – pozbawił spokoju. Kiedyś całe dni mogła spacerować, kąpać się w morzu albo leżeć nieruchomo na skałach i przyjmować spływające na nią promienie słońca. Była częścią, własnością jej świata, tak samo jak on, niezmienna i spokojna. Należeli do siebie i było im z tym dobrze. A potem pojawił się ten ponury mężczyzna i Kalipso poczuła nieznaną, dręczący głód. Przestało jej wystarczać słońce i morze, poczuła, że musi zatonać. I jego zatopić w ich obojgu, sobie i swoim świecie. Tak zaczęła się ich walka, która – właśnie teraz, na kilka godzin przed świtem dotarło to do niej – dobiega powoli końca.

Gdy się do siebie zbliżali, Kalipso próbowała zatrzymać Odysa, a on ją zmienić. Nie było miejsca ani czasu na pertraktacje, zawieszenie broni. Między dwojgiem ludzi, z których jedno każdym gestem, szeptem i pocałunkiem mówi „zostań”, a drugie – „chodź” nie może dojść do porozumienia. Ona jest więźniem miejsca, on – drogi. Jedno z nich musi wreszcie ulec, dać się wchłonąć, przetrwać ciało tego drugiego – światu, którego jest częścią i posłańcem. Byli jak żołnierze wysłani do pojedynku przez dwie, stojące naprzeciw siebie armie. Był sprytny. Wiedział, że wygra z nią tylko unikami, uciekając od jej ciosów i pocałunków.

Gdy zaczął się wymykać, siadać nocami nad brzegiem i trwać tam nieruchomo aż do świtu, zabrał nie tylko jej porządek, ale i sen. Tak już z nim widać jest: gdziekolwiek się nie pojawia, zostawia za sobą płacz i wściekłość. Kradnie, niszczy i płynie dalej.

Bo kiedy znika, coś zmienia się w powietrzu. Było jak struna, która bez niego przestawała drgać. Nie było też już jego ostrego, zaprawionego po trochu każdym z miejsc, w których był zapachu mężczyzny. Gdyby nie ona, zaczęłyby się już powoli zamieniać w odór starca. Może zęby zaczęłyby się już chwiać. Na pewno skóra zmieniłaby kolor i nie byłaby już tak napięta, bo przecież mięśnie zaczęłyby też wiotczeć. Zatrzymała nie jego, wciąż nie potrafił tego zrozumieć, tylko czas. Podarowała mu coś więcej niż dom czy swoje wiecznie niewiędnące ciało; ofiarowała mu nade wszystko niezmiennosc. I tego jednego, największego z darów, nie był w stanie wytrzymać.

Dopóki nie otworzy oczu, nie przewróci się na bok w poszukiwaniu jego ramienia, będzie jeszcze trochę tak jakby tu był. Jakby nie wymknął się, swoim zwyczajem i nie wpatrywał teraz w ciemne fale, zlewające się z czarnym niebem.

Wstała z łóżka, owinęła się szczelnie kocem. Długo nie mogła znaleźć pantofli, wymacując naokoło nagą stopą podłogę zbliżała się powoli do wyjścia. W końcu założyła stojące na zewnątrz sandały. Nie chroniły przed ciągnącym od nagich skał chłodem. W ciągu dnia potrzeba było ledwie kilku godzin by się nagrzały, obuwie było jej potrzebne by się nie poparzyć. Ale z chłodem nie potrafiło dać sobie rady. Poczuła jak jej doskonale smukłe, nieprzemijająco piękne nogi pokrywa gęsia skórka.

Jeszcze nie tak dawno, rok, może dwa lata temu wybuchłaby gniewem. Ale teraz koła ją własna bezradność. Była jak oblężona twierdza, w której zmniejszano z każdym dniem racje żywnościowe. Zmierzając nad brzeg, z białą flagą w dłoni, czuła nie tylko gorycz porażki, ale też ulgę. Nareszcie to wszystko się skończy. Wreszcie sobie pójdzie i wszystko stanie się jak dawniej. Nie od razu i nigdy do końca tak samo, ale jednak. Minie ta milcząca kłótnia, szarpanina bez dotyku.

Dostrzegła zarys jego sylwetki. Była nieruchoma, nie wstrząsał nią gniew ani rozpacz, a jednak wiedziała, już z daleka stało się to dla niej jasne, że płacze. To było coś na linii między ramionami a szyją, jedyne w swoim rodzaju zgarbienie; był skulony jak bite zwierzę – zaraz rzucił się na napastnika, ale teraz jeszcze przyjmuje jego uderzenia, łkając z upokorzenia. I to nie ona była jego wrogiem, nie z nią toczył swoją walkę. Dopiero teraz wpadła w złość, poczuła ukłucie upokorzenia. Przegrać walkę to jedno, ale zostać w niej pominiętym? To z morzem, czarną o tej porze, falującą otchłanią bez dna ani końca mierzył się mężczyzna, w którym przez ostatnie kilka lat próbowała utonąć. Wpaść w niego jak kamień w nieruchomą tafłę jeziora i obserwować jak po jego ciele, twarzy, tonie głosu i gestach rozchodzi się jak kręgi na wodzie ona, nimfa.

Tymczasem wymykał się nocą nie po to, żeby pozbawić ją własnego ciepła i zapachu. Nie pokonywał jej, tylko omijał. Wysuwał się bezszelestnie z łóżka i wychodził na brzeg, bo o tej porze morze było najbardziej sobą. Ciemną, pierwotną siłą, z której może się narodzić wszystko inne. O tej porze przeraża najbardziej i najwięcej obiecuje. Jak każda możliwość, wszystko co niepewne i pulsujące.

Szła powoli, starając się po drodze obmyślić wszystko, co ma mu do powiedzenia. Nie narazić się na choćby chwilę zawahania. Nie zająknie się, nie zamilknie. Wygłosi mu swoje stanowisko, a potem odejdzie. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, może nawet uda się wzbudzić w nim wyrzut sumienia? Trzeba będzie go tylko przytłoczyć swoją wspaniałomyślnością, wytoczyć na raz wszystkie działa. Nie tylko pozwoli mu odejść, ale sprawi, że będzie miał ku temu warunki. Nie będzie obojętna na jego los. Pomoże mu zbudować tratwę, sama przyszykuje prowiant. Przez te kilka dni przygotowań nie odezwie się ani słowem. Posłusznie, pracowicie i w całkowitym milczeniu przyszykuje jego odejście. Z takim oddaniem i gorliwością, jakby to ona sama miała zniknąć.

Nie myliła się, po nieruchomej twarzy Odyseusza płynęły spokojnym, leniwym nurtem dwie strużki łez. Dopiero teraz przyszła jej na myśl ta druga. To sprawiło, że się zawahała; była już gotowa go wypuścić, ale jeszcze nie oddać. Przygryzła wargi. Po jej twarzy, wzdłuż lewego policzka, przemknął - ukryty przez ciemność - skurcz gniewu. I tak by go nie zauważył, nie odwrócił głowy na jej przybycie. Nauczył się ją lekceważyć. Odpływał od niej już od dawna. Tylko w pierwszych latach był tu naprawdę. I nawet wtedy to nie ona, jej siła - kobiecość pomnożona przez nieśmiertelność - przyciągała go do niej. Była tylko przystanią, chwilą odpoczynku. Nie roztrwonił w niej choćby najmniejszej cząstki swojej niecierpliwości. Tego właśnie, co najbardziej zafascynowało nimfę w mężczyźnie. Nigdy jej nie szukał. Po prostu była. Jak skała wystająca z morza, dryfująca belka, której może się złapać rozbitek. Jak noc, która musi minąć.

Najgorsze było to, że na swój sposób ją pokochał. Swój, czyli przejściowy. Równie mocno cieszył się z tego, że stanęła na jego drodze jak i na myśl, że kiedyś wreszcie z niej ustąpi. Nie jest najwierniejszym z mężów, nie nosi w sobie Penelopy dniem i nocą. Myśl o niej nie odgoniła od niego uścisków nimfy. Ale przechował ją w sobie, jak postać wszystkiego ku czemu płynie, mapę i kompas, wskazujące cel tej podróży. Jedynym, co było w nim stałe i niezmienna była tęsknota. A ta nosiła imię jego żony.

Kalipso dotknęła ramienia Odysa. Inaczej niż zwykła to była robić w ostatnich latach – nie jak „chętna przy niechętnym”. Tak jak teraz wykonała ten gest, zwykło się dotykać umierających, ciała do których nie ma już dostępu. Czułością rezygnacji. Chciała mu dać nieśmiertelność, nie przyjął jej. Tym teraz dotykiem, drżącą z zimną dłonią wysuwającą się spod grubego koca, wycofywała swoją ofertę. Podniósł na nią wzrok. Milczał. Za wcześnie by się cieszyć. Noc jeszcze nie minęła, przed nim daleka droga.

Pięć dni później nie wyszła na brzeg by go pożegnać. Dotrzymała danej sobie obietnicy, nie odezwała się do niego ani razu. Jeszcze tylko chwila, godzina – może mniej. Wytrzyma. Siedziała przy stole w swej kuchni, piła gorącą herbatę. Na środku stołu leżał talerz z owsianymi ciastkami. Ułamywała po małym kawałku i wrzucała do herbaty. Po jej tafli nie rozchodziły się kręgi.

Dopiero kiedy odbił od brzegu - tak jakby wcześniej bał się, że będzie próbowała go zatrzymać - spojrzął przez ciemność wyspy w kierunku domu nimfy. W oknie paliło się blade migające światło, nie zarysował się na jego tle żaden kontur. Zaczynało mu jej brakować, z każdym pociągnięciem wiosła coraz bardziej. Tak już teraz będzie. Odetchnął, ciężko, z ulgą.

Burza rozpętała się dwa dni później. Nie była może większa ani bardziej groźna od poprzednich. To jego „statek” zmałał, a on sam zmarniał. Bez żołnierzy, którym mógł wydać rozkaz. Żaden z towarzyszy nie został już do stracenia, a tak to przecież zazwyczaj przebiegało. Coś musiał zostawiać za sobą, wyzbywać się, tracić, opłakiwać. Zapasy, sen – to za mała ofiara. Morze chce krwi, a nie ma tu innej od tej płynącej w jego żyłach. W każdej przygodzie musi kogoś stracić, w tej samotnej los musi paść zatem na niego. Taka jest logika tej podróży, powrotu bez końca.

„Nad kim będziecie się znęcać, kiedy zniknę? Dla mnie to już bez znaczenia, wiem, że nie dotrę do domu. Żałuję tylko, że nie skończyło się wcześniej, najlepiej pod Troją. Lepiej byłoby umrzeć od włóczni wbitej w pierś niż wody, wdzierającej się do niej przez usta. Ale czy to aż tak wielka różnica? Zważcie tylko, wy, którzy mi to wszystko robicie, że jestem wam potrzebny. Kto inny będzie tak uparty, tak wiernie będzie wam rzucał kolejne wyzwania? Wiecie przecież jacy są ludzie. Nędzni i leniwi. A wy potrzebujecie wrogów, z którymi można by walczyć, a nie mrówek do zdeptania. Jak długo będzie trwała rozkosz ostatniego ciosu? Czy nie lepiej zadać ich jeszcze kilka? Co wy na to? Rozrywajcie dalej moją tratwę, nie potrzebuję jej. Zostawcie mi tylko

jeden pał. Nie muszę stać, dajcie mi się tylko czego złapać. Od początku wiedziałem, że cały rząd belek to za dużo. Jedna, wystarczy jedna. Co wy na...”

Bałwan wody zatkał mu usta, zachwiał się i wpadł do morza. „A więc tak chcą to skończyć. Będą żałować. Jeszcze zatęsknią”. Niebo było ciemne jak sufit celi bez okien. Odyseusz rozluźnił mięśnie, zaczął opadać. Już pod wodą otworzył oczy, ostatni raz, na pożegnanie. Wydało mu się – było zbyt ciemno by mógł to zobaczyć – że na tle ciemności pojawił się kontur pojedynczej belki. Spełnienie jego prośby. Nie da im tej satysfakcji. Zaczął płynąć w kierunku złudzenia. Wymacał je dłońmi, złapał żelaznym uściskiem. I nie puścił przez trzy kolejne dni.

Kiedy się obudził niebo miało ciemnoszarą barwę. Jak na chwilę przed wielką burzą. Albo świtem. Znowu, jak przez tyle nocy w ostatnich latach, otaczały go przybrzeżne skały. Nie siedział już na nich, tylko leżał bezwładnie, nie mogąc poruszyć żadną z kończyn obolałego ciała. Znał doskonale tę porę dnia, ale nie ten brzeg. Noc jeszcze nie minęła, tylko Odyseusz był po jej drugiej stronie.

Jan Maciejewski

Wszystkie teksty Jana Maciejewskiego dla Teologii Politycznej